

Tomasz Kizwalter

Czy uczeni powinni uprawiać politykę?

Przegląd Historyczny 99/4, 511-520

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

TOMASZ KIZWALTER
Uniwersytet Warszawski
Instytut Historyczny

Czy uczeni powinni uprawiać politykę?*

„Mówi się — z czym się całkowicie zgadzam — że polityka nie powinna być uprawiana w salach wykładowych”¹. To cytat z wykładu „Wissenschaft als Beruf” („Nauka jako zawód i powołanie”), wygłoszonego przez Maxa Webera w Monachium 7 listopada 1917 r. Uzasadniając swą opinię, Weber używał różnego rodzaju argumentów. Zaczynał od sprawy zachowania studentów: jest rzeczą godną ubolewania, podkreślał, gdy roznamietniona politycznie młodzież podnosi „wrzawę” w obecności wykładowcy. Podstawowe znaczenie miały jednak poczynania profesury. „Katedra w sali wykładowej to nie miejsce dla proroka i demagoga. Prorokowi i demagogowi powiedziano bowiem: »Idź na ulice i tam mów publicznie«. To znaczy tam, gdzie jest możliwa krytyka. W sali wykładowej, gdzie wykładowca siedzi naprzeciw swoich słuchaczy, oni mają zachować milczenie, on zaś ma mówić. Sądzę, że w sposób nieodpowiedzialny postępuje wykładowca, który obojętnie uczęszcza przez studentów na jego wykłady, będący warunkiem uzyskania promocji, oraz zakaz występowania przez nich z jakąkolwiek krytyką wykorzystuje dla narzucania im własnych politycznych poglądów, zamiast służyć im swoją wiedzą i naukowym doświadczeniem”².

Jednakże Weberowi chodziło nie tylko o tę instytucjonalną przewagę, akademicką hierarchię, odmienność statusu nauczających i uczących się — odmienność wyraźniej zaznaczającą się w tamtej epoce surowego dyscyplinowania niż obecnie. Myślał o tym, co stanowiło podstawę jego koncepcji nauki: o odejściu od wartościowania. Według Webera ten, kto chce być godny miana badacza, musi powstrzymać się od ocen. Nie wolno nadmiernie rozszerzać zakresu społecznych zadań nauki. Kiedy pojawia się konieczność oceniania, wtedy „głos powinny — — zabrać inne autorytety niż katedra uniwersytecka”³. Wykładając, nie można aspirować do pozycji życiowego przewodnika lub politycznego przywódcy. „— — Katedry — podkreślał Weber — zostały nam dane tylko po to, abyśmy z nich nauczali”⁴.

* Tekst wykładu inauguracyjnego rok akademicki 2008/2009 na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego.

¹ M. Weber, *Nauka jako zawód i powołanie*, przełożył P. Dybel, [w:] M. Weber, *Polityka jako zawód i powołanie*, przedmowa, wstęp i opracowanie Z. Krasnodębski, przekład A. Kopački, P. Dybel, Kraków 1998, s. 128.

² Ibidem, s. 129.

³ Ibidem, s. 131.

⁴ Ibidem, s. 132.

Nie było to wezwanie do wyrzeczenia się ambicji wychowawczych i politycznych, lecz apel o rozdzielanie społecznych ról. „Profesor, który czuje się powołany do udzielania rad młodzieży i cieszy się jej zaufaniem, niech będzie dla niej »swoim człowiekiem« w osobistych, bezpośrednich kontaktach. Jeśli zaś czuje się powołany do włączenia się w walkę światopoglądową oraz walkę między poglądami różnych partii, niechaj czyni to na zewnątrz — w gwarze życia: na zgromadzeniach, w związkach, gdzie tylko zechce”⁵.

*

Poglądy Webera zasługują na uwagę z kilku względów. Był wielkim uczonym, jednym z tych, których dorobek uważa się za najcenniejszy w dziejach nauk społecznych. Jego refleksja nad istotą pracy badawczej wywarła trudny do przecenienia wpływ na rozwój tych nauk. Był również Niemcem, studiował i pracował na niemieckich uniwersytetach, a niektórym z tych uczelni mogły wówczas pozazdrościć poziomu Oksford i Cambridge.

Pytanie o granicę obecności polityki na uniwersytecie miało dla Webera charakter osobisty. Biografowie wskazują, że w młodości bardziej niż praca akademicka pociągała go właśnie działalność polityczna⁶. Robiąc błyskotliwą karierę uniwersytecką — habilitację uzyskał w wieku 27 lat, profesorem zwyczajnym został jako trzydziestolatek — starał się nie oddalać od polityki: należał do Związku Wszechniemieckiego oraz Stowarzyszenia Narodowo-Społecznego, jako wykładowca i prelegent chętnie wypowiadał się w kwestiach politycznych. Choroba zmusiła go do wycofania się na długi czas z tego rodzaju aktywności, lecz podczas pierwszej wojny światowej powrócił do publicystyki i wystąpień publicznych — czego przejawem był między innymi cytowany przeze mnie wykład.

Teza, że „polityka nie powinna być uprawiana w salach wykładowych”, wyrastała zatem z własnych doświadczeń Webera. Biorąc pod uwagę obyczaje niemieckiej społeczności akademickiej, trzeba powiedzieć, że zakładała rzadko wtedy spotykaną powściągliwość. Sytuacje, do których nawiązywał Weber w swym monachijskim wykładzie, były najzupełniej realne: zarówno studenci hałaśliwie występujący przeciwko wykładowcy o nielubianych poglądach, jak i profesorowie, którym marzyła się rola „przywódcy”.

W dziewiętnastowiecznych Niemczech ukształtowała się tradycja politycznego zaangażowania środowisk uniwersyteckich. Wilhelm von Humboldt, wybitny reformator pruskiego szkolnictwa, założyciel Uniwersytetu Berlińskiego, przyjmował, że kształcenie uniwersyteckie powinno pozostawać nierozzerwalnie związane z pracą naukową, ta zaś polega na bezinteresownym poszukiwaniu prawdy. Stanowiło to ideał, który tylko po części można było urzeczywistnić, ale nawet jego połowiczna realizacja miała istotne i nieco paradoksalne konsekwencje społeczne. Autorytet, jaki zyskiwali sobie aspirujący do miana poszukiwaczy prawdy, stawał się podstawą politycznego znaczenia: podczas Wiosny Ludów „rozpolitykowany profesor” należał do czołowych postaci niemieckiego życia publicznego. Z upływem czasu zmieniały się jednak ideowe orientacje. Przed 1871 r., od epoki restauracji poczynając, wśród nauczycieli akademickich silne były dążenia opozycyjne; po utworzeniu Rzeszy Niemieckiej profesura w większości wspierała system⁷. W uniwersyteckim dyskursie wzmacniały się tendencje państwowo- i narodotwórcze.

⁵ Ibidem, s. 133–134.

⁶ Z. Krasnodębski, *Max Weber*, Warszawa 1999, s. 15–16.

⁷ T. Nipperdey, *Prusy i uniwersytet*, [w:] idem, *Rozważania o niemieckiej historii. Eseje*, przełożył A. Kopaćki, Warszawa 1999, s. 221–247.

Naukowcy — w tym wiele postaci wybitnych — za oczywistą część swej działalności zawodowej uważali wypełnianie zadań propagandowo-wychowawczych.

Wróćmy jeszcze do Maxa Webera. W 1895 r., po objęciu katedry na uniwersytecie we Fryburgu Bryzgowijskim, wygłosił tam wykład inauguracyjny zatytułowany „*Die Nationalstaat und die Volkswirtschaftspolitik*” („Państwo narodowe a narodowa polityka gospodarcza”). Alarmował w nim, że niemieckie interesy są zagrożone, gdyż we wschodnich rejonach Rzeszy przybywa ludności polskiej. Toczy się tam, powtarzał, „ekonomiczna walka narodowości”. Na polskim czytelniku wywody Webera wywierają niezbyt przyjemne wrażenie, ale nie są też zgodne z obowiązującymi dziś ogólnoeuropejskimi kryteriami przyzwoitości w dziedzinie publicznych wypowiedzi. Wykładowca orzekł, że niemieccy chłopci i robotnicy rolni „w cichych i monotonnych zmaganiach codziennego życia gospodarczego przegrywają z rasą stojącą od nich niżej”⁸. I wyjaśniał, iż „polski chłop małorolny zdobywa grunty, ponieważ w pewnym sensie żre trawę, która porasta te ziemie, a więc nie pomimo, lecz z powodu niskiego poziomu swoich fizycznych i duchowych przyzwyczajzeń”⁹. Trudno uznać takie stwierdzenia za apolityczne i wyzbyte wartościowań. Nie chodzi mi o to, aby podkreślać siłę Weberowskiego nacjonalizmu i wskazywać wątki, które obecnie mogą budzić zażenowanie. Weber mówił językiem swej epoki: opinie tego rodzaju, kłócące się z naszą wrażliwością, nikogo wtedy szczególnie nie dziwiły (skłaniały natomiast często do utrzymania w podobnym stylu repliki). Niezmiernie trudno było wyjść poza granice przyjętego języka.

Wysiłek, jaki wkładał Weber w wypracowywanie wzorca nauki wolnej od wartościowania, świadczy jednak, że przenikanie się nauki i polityki stało się dla niego problemem o niebagatelnym znaczeniu. Uczony, który swą akademicką karierę otwierał wykładem o wyraźnie politycznym charakterze, dochodził w końcu do wniosku, że „polityka nie powinna być uprawiana w salach wykładowych”. Wniosek ten formułował po latach doświadczeń, nie rezygnując bynajmniej z osobistych związków z polityką — przeciwnie, był to okres jego powrotu do czynnej działalności politycznej.

Poglądy Webera z 1917 r. należy rozpatrywać w kontekście nastrojów, jakie zapanowały w niemieckich środowiskach naukowych po wybuchu pierwszej wojny światowej. W październiku 1914 r. wykładowcy wyższych uczelni Rzeszy ogłosili manifest, w którym protestowali przeciwko praktykowanemu przez Brytyjczyków „oddzielaniu ducha nauki niemieckiej od ducha pruskiego militarysty”. Autorem tekstu był Ulrich von Wilamowitz-Moellendorf, wielki znawca kultury starożytnej Grecji. Kluczowy fragment manifestu brzmiał następująco: „Armię niemiecką przenika ten sam duch co naród niemiecki. Armia i naród stanowią jedność, również my należymy do tej jedności — — Wierzymy, że cała kultura Europy zależy od zwycięstwa »militarysty« niemieckiego, hartu męskiego, wierności oraz odwagi zgodnego i wolnego narodu niemieckiego”¹⁰. Deklarację tę podpisały cztery tysiące nauczycieli akademickich.

Wojownicze wypowiedzi to nic osobliwego podczas wojny. Nie brakowało ich wówczas w żadnym z walczących państw i wszędzie wypowiadali się w tym duchu również

⁸ M. Weber, *Państwo narodowe a narodowa polityka gospodarcza*, przełożył A. Kopaćki, [w:] M. Weber, *Polityka*, s. 183.

⁹ Ibidem, s. 179.

¹⁰ Cyt. za: H. Orłowski, *Wprowadzenie*, [w:] *Sonderweg. Spory o „niemiecką drogę odrębną”*, wybór, opracowanie i wprowadzenie H. Orłowski, przekład J. Kałużny, Poznań 2008, s. 14.

ludzie nauki. Odnoszę jednak wrażenie, że w przypadku cytowanego manifestu przekraczono pewną granicę — granicę, poza którą dość pospolita retoryka zaczynała nabierać innego sensu.

Wyznaczenie tej granicy nie jest łatwe. Należy wszakże próbować, ponieważ mamy tu do czynienia ze sprawą o zasadniczym znaczeniu. Przekonanie, że nauka to bezinteresowne poszukiwanie prawdy, mocno zakorzeniło się w kulturze europejskiej. Klóci się z nim obraz kogoś, kto pracy naukowej nie chce oddzielać od zaangażowania politycznego. Ideowy zapal sprawia często, że ktoś taki swe politycznie umotywowane poczynania uważa za równoznaczne z naukowym dążeniem do prawdy. Tęgo rodzaju postawa bywa ostro krytykowana, a wyraźną aprobatę może zyskać jedynie w kręgu współwyznawców i sympatyków. Ale postulaty, aby politykę zupełnie wyrugować z życia naukowego, wydają się i nierealne, i niestosowne. O nierealności takich zamiarów przekonują zarówno zdroworozsądkowe obserwacje, jak analizy metodologów i socjologów nauki. Ideowo-polityczne uwarunkowania nieuchronnie — choć zależnie od sytuacji w różnym stopniu — wpływają i na praktykę badawczą, i na to, co robią naukowcy, opuściwszy swe miejsca pracy. Nierealność antypolitycznego rygoryzmu łączy się jednak z jego niestosownością, a nawet szkodliwością: dlaczego właśnie naukowcy, w odróżnieniu od innych kategorii ludzi, mieliby być pozbawieni prawa do aktywności politycznej?

Nie o odrzucenie polityki powinno nam zatem chodzić, lecz o próbę wytyczenia granic, czyli ustalenia, jaki zakres i jakie formy politycznego zaangażowania można zaakceptować w kręgach akademickich. Zadanie ma charakter praktyczny i aktualny, lecz nie sposób patrzeć na nie wyłącznie z perspektywy dnia dzisiejszego — doświadczenia z przeszłości są w tym przypadku niezmiernie użyteczne.

Ogłoszony w październiku 1914 r. manifest niemieckich wykładowców wydaje się wykraczać poza granicę tego, co dopuszczalne. Decydująca jest tu, jak sądzę, rezygnacja z zasady, że nauka musi zachowywać autonomię wobec polityki. Inaczej mówiąc: popieranie działań własnego rządu nie może prowadzić do przyjęcia tezy, że racje, którymi kieruje się ów rząd, powinny przyświecać również środowisku naukowemu w jego własnych poczynaniach. Jeśli dochodzi do utożsamienia racji naukowych z politycznymi, oznacza to, że dzieje się źle — i w polityce, i w nauce.

Na takie stwierdzenie można by odpowiedzieć, że do przenikania się motywacji naukowych i politycznych dochodzi nieustannie, od dawien dawna, a nauka jakoś to znosi i nawet się rozwija. W końcu Wilamowitz-Moellendorf, autor manifestu z 1914 r., był bez wątpienia uczonym wielkiego formatu. W niektórych dziedzinach nauki czynnik ideologiczno-polityczny odgrywa niebagatelną i niekoniecznie destrukcyjną rolę. Nie tylko w bismarckowskich i wilhelmińskich Niemczech historycy podejmowali się zadań propagandowo-wychowawczych. Wszystkie historiografie narodowe, tak bujnie rozwijające się w XIX i XX w., miały wyraźny aspekt ideologiczny: uznając naród za podmiot dziejów, badacze nie tylko w odpowiedni sposób interpretowali materiał historyczny — najczęściej starali się również przyczynić do wzmocnienia narodowej tożsamości. A jednak w obrębie tych historiografii dokonywał się rzeczywisty postęp badań¹¹. Oczywiście, z punktu widzenia fizyka naukowość wszelkich dociekań historycznych może się wydawać dyskusyjna, lecz tego rodzaju sceptycyzm nie jest przecież powszechny.

¹¹ T. Kizwalter, *National Historiography and Its Ideological Conditions (19th — 20th Century)*, [w:] *The National Idea as a Research Problem*, red. J. Sujecka, Warszawa 2002, s. 43–50.

Nie sposób lekceważyć taką argumentację. To prawda, że związki nauki z polityką są silne. Historiografia nie stanowi tu żadnego szczególnego przypadku, chociaż jej ideologiczno-polityczne uwikłania bywają zapewne bardziej spektakularne niż to, z czym mamy do czynienia w innych dziedzinach. Trzeba raz jeszcze podkreślić, że dążenie do rygorystycznego eliminowania pierwiastków politycznych z życia naukowego nie byłoby sensowne.

Bardzo niebezpieczne konsekwencje miałyby jednak dojście do przekonania, iż nieusuwalność polityki zwalnia nas z troski o to, aby nie było jej zbyt wiele. Nie wolno moim zdaniem powiedzieć: skoro tak czy owak jest obecna, to nie ma znaczenia, czy jest jej więcej czy mniej.

Końcowy etap nasycania nauki polityką opisuje Leszek Kołakowski. „Najogólniej mówiąc, tendencja ustroju sowieckiego w stosunku do nauki była taka: nauki przyrodnicze są na usługach przemysłu, zaś nauki humanistyczne na usługach partyjnej propagandy. »Jedność teorii i praktyki« w historii, filozofii, historii literatury i sztuk polegać miała na tym, by nauki te »służyły partii i państwu«, czyli zajmowały się głównie krzewieniem i utrwalaniem aktualnych zarządzeń i aktualnej linii partyjnej”¹². Dzisiejszy czytelnik „Głównych nurtów marksizmu”, nawet jeśli wie co nieco o epoce stalinowskiej, może z niedowierzaniem traktować wiele fragmentów poświęconych dziejom nauki w ZSRR. Osobliwa wydaje się zwłaszcza sytuacja, w jakiej od połowy lat trzydziestych — z kulminacją w ostatnim pięcioleciu życia Stalina — znalazły się nauki przyrodnicze. Mniej chyba zaskakuje obezwładniająca kontrola partyjna nad humanistyką, choć i tu nie brak rzeczy zdumiewających. Jednakże ideologiczne ingerencje w samą treść fizyki czy biologii — kampanie przeciwko teorii względności, mechanice kwantowej, cybernetyce i genetyce — to szczególnie dobitne świadectwo ambicji działaczy budujących system totalnego panowania. Symbolicznego znaczenia nabrała wówczas niezwykła kariera Trofima Łysenki, agronoma, który postanowił obalić ustalenia genetyki, uznanej za naukę „burżuazyjną”, i udowodnić, że organizmy żywe wykazują nieograniczoną właściwie plastyczność pod wpływem zmian środowiskowych. Łysenko, czystej wody szarlatan, doczekał się pod rządami Stalina pozycji głównego autorytetu w dziedzinie biologii, został członkiem Akademii Nauk ZSRR i przewodniczącym Akademii Nauk Rolniczych¹³.

Szkody, jakie stalinizm wyrządził nauce, były ogromne: upadek badań, zerwanie umysłowej tradycji, destrukcja środowiska naukowego. Ideologizacja nauki prowadziła do dziwacznych paradoksów: okazało się, że napaści na cybernetykę, uważaną za niezgodną z oficjalną ideologią państwa, wywarły hamujący wpływ na badania o charakterze militarnym i osłabiły tempo rozwoju sił zbrojnych ZSRR.

Ktoś może jednak zapytać, czy nie mamy tu do czynienia z casusem wyjątkowym. Związek Radziecki, powstał po załamaniu się carskiego imperium — peryferyjnego mocarstwa o politycznej kulturze znacznie odbiegającej od europejskich wzorców, ciężko borykającego się z wyzwaniem, które niesła nowoczesność. Reżim Lenina i Stalina był produktem specyficznego zetknięcia rosyjskiej tradycji z radykalną ideologią, której fundament stanowiły dzieła niemieckiego filozofa. W ZSRR rozpoczęto eksperyment społeczny na bezprecedensową skalę, posługując się bezprecedensowymi

¹² L. Kołakowski, *Główne nurty marksizmu. Powstanie — rozwój — rozkład*, Londyn 1988, s. 870–871.

¹³ Ibidem, s. 871–872, 898–900.

metodami. W jakiej mierze zjawiska zrodzone w tak szczególnych okolicznościach można w sensowny sposób zestawiać z tym, co działo się w innych krajach?

Zostawmy na boku kwestię, do jakiego stopnia dzieje Rosji i rosyjskich imperiów należą do historii Europy — dyskusję na ten temat trudno jednoznacznie rozstrzygnąć. Trudno też zajmować się teraz użytecznością pojęcia „totalitaryzmu”, które pozwala w tych samych kategoriach rozpatrywać stalinowski Związek Radziecki i Trzecią Rzeszę Hitlera. Jeśli jednak zajmujemy się skrajnymi postaciami związków między polityką a nauką, to oprócz przypadku radzieckiego musimy uwzględnić niemiecki.

Europejskość tego ostatniego, mimo długotrwałych debat o *deutscher Sonderweg* („odrębnej niemieckiej drodze”)¹⁴, nie może budzić żadnych wątpliwości. Nazizm, postrzegany na tle historii Europy, to rzecz jasna zjawisko szczególne, uznawane często za rodzaj potwornej anomalii. Mówiąc o nazizmie i stalinizmie jako dziejowych „przypadkach szczególnych”, trzeba wszakże wprowadzić przynajmniej jedno istotne rozróżnienie. Prowadząca do ludobójstwa inżynieria społeczna Stalina, chociaż osadzona zarówno w dziejach Rosji, jak i całego kontynentu, i chętnie wspierana europejskiej proveniencji retoryką, była w istocie próbą zerwania z dziedzictwem Europy. Jednym z przejawów tego dążenia stało się stalinowskie traktowanie nauki. Tymczasem ludobójczy reżim nazistów, przy całej skrajności jego rasistowskiej utopii i szokującej brutalności politycznych metod, pozostawał pod wieloma względami mocno związany z niemieckimi i europejskimi realiami sprzed dojścia Hitlera do władzy. Jest to, jak sądzę, konstatacja tyleż przykra, co dająca do myślenia.

Przy porównywaniu stalinowskiego i nazistowskiego stosunku do nauki rzucają się w oczy istotne podobieństwa. I w ZSRR, i w Trzeciej Rzeszy środowiska naukowe padły ofiarą szeroko zakrojonych prześladowań. Naukowcy tracili pracę; jedni emigrowali, inni trafiali do więzień i obozów; wielu dręczono i mordowano. Kryteria, jakimi kierowały się władze obu państw przy wyznaczaniu ofiar, były zbliżone co do zasady. Obok opozycyjnej postawy kluczową rolę odgrywały cechy skazujące na ideologicznie uwarunkowane wykluczenie: żydowskie pochodzenie w Niemczech, bycie „wrogiem klasowym” w ZSRR (przy czym w miarę budowy stalinowskiej tyranii to ostatnie pojęcie nabrało zadziwiającej elastyczności). W Trzeciej Rzeszy naukę również poddano ideologicznej kontroli, obsesyjnie tropiąc rzekome wpływy „żydowskie” (za ich przejaw uznano między innymi teorię względności, pod rządami Stalina tępioną z innych powodów).

Nielatwo dokładnie ocenić, w jakim stopniu kręgi naukowe akceptowały działania władz, a przede wszystkim jakie były mechanizmy tej akceptacji. Oficjalne ideologie miały znaczną siłę oddziaływania, lecz autentyczna aprobata, czy nawet fanatyczny entuzjazm przeplatały się najczęściej się z wyrachowaniem i — *last but not least* — strachem. Ideokracje, czyli dyktatury zideologizowane, bardzo sprzyjają rozwojowi konformizmu.

O ile jednak dla szczerych i przymuszonych zwolenników sowieckiego ładu jego budowa oznaczała pożegnanie „starego świata” (nie musimy w tej chwili rozważać, do jakiego stopnia się łudzili), o tyle projekt nazistów, chociaż pod niejednym względem wyraźnie zrywał ze „starym porządkiem”, to jednocześnie zachowywał z nim istotne związki. Znaczenie owego elementu ciągłości widać w sferze nauki i jej ideowo-politycznych uwarunkowań.

¹⁴ Vide *Sonderweg*, passim.

Pierwsza wojna światowa przyniosła Niemcom klęskę, którą uważano tam powszechnie za upokarzającą. Wielu mieszkańców Republiki Weimarskiej — w tym wyrażna większość członków warstw wyższych oraz dawnych elit politycznych i umysłowych — uznawało nowe państwo za twór obcy niemieckiej tradycji, rezultat knoń wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. W atmosferze powojennych frustracji, podsycanych jeszcze przez kryzysy ekonomiczne i obawę przed rewolucją, dobrze utrwalone, dziewiętnastowieczne wzorce i idee w niepokojący sposób mieszały się z produktami nowej epoki.

Trzeba w tym momencie wrócić do manifestu niemieckich wykładawców, którzy w 1914 r. energicznie bronili związku „ducha nauki niemieckiej” z pruskim militarystem. Powiedziałem, że w tekście tym doszło do szkodliwego utożsamienia racji naukowych z politycznymi. Nie sądzę, aby wielki sens miało potępienie ludzi podpisujących się pod tą wojowniczą deklaracją — chociaż ich poglądy nie budzą mojej sympatii. Patrząc na tamte wydarzenia z perspektywy kogoś, kto zna następstwa podejmowanych wtedy działań. Korzystając z poznawczego przywileju później urodzonego, nie chciałbym dodawać do tego uprzywilejowania poczucia moralnej wyższości. Nie znaczy to, że rezygnuję z oceny.

Słusznie podkreśla się dziś, że przeszłości nie można uważać za zbiór wydarzeń nieuniknionych. To, co działo się w Republice Weimarskiej, nie musiało doprowadzić do przejścia władzy przez Hitlera. Nic nie zmieni jednak faktu, że w rzeczywistości doprowadziło.

Zastanawiano się niezliczoną ilość razy, jak to się stało, że reżim tak barbarzyński powstał w kraju o ogromnym dorobku kulturalnym i naukowym, w jednym z głównych centrów nowoczesnej cywilizacji — nie gdzieś na zacofanych peryferiach, co europejska opinia mogłaby łatwiej zrozumieć. Nie mają według mnie racji ci, którzy genezy nazistowskich zbrodni dopatrują się przede wszystkim w ekspansji bezdusznej, nieludzkiej nowoczesności¹⁵. Ale myliłby się też ten, kto utrzymywałby, iż nauka niemiecka nie miała nic wspólnego z dojściem nazistów do władzy.

Powstanie Trzeciej Rzeszy to, jak dobrze wiadomo, wynik oddziaływania wielu czynników. W grę wchodziły tu rozmaitego typu zjawiska i procesy: długo- i krótkookresowe, takie, które uznawano za nieuniknione, i takie, które miały znamiona przypadku. Uważam, że przy rozpatrywaniu tego zawilego splotu przyczyn niesprawiedliwą przesadą byłoby przypisywanie jakiejś eksponowanej roli nauce i naukowcom. Nie wolno zapominać o prześladowaniach, które spadły na środowiska akademickie po uchwyceniu władzy przez Hitlera, o przeciwnikach reżimu i jego ofiarach. Jednakże to nie przeciwnicy nazizmu nadawali wówczas ton niemieckiemu światu naukowemu¹⁶.

Nie można wyjaśnić tego jedynie konformizmem, chociaż konformistów oraz ludzi spragnionych kariery w tego rodzaju sytuacjach nigdy nie brak. Mamy wszakże aż nadto argumentów na rzecz tezy o ideowym zbliżeniu niemieckiej nauki i nazizmu. Podobnie jak w przypadku sowieckim, z dziejów nauki w Trzeciej Rzeszy wydobyć można kurioza —

¹⁵ Vide m.in. Z. Bauman, *Nowoczesność i Zagłada*, przełożył F. Jaszucki, Warszawa 1991; D. J. K. Peukert, *Geneza „rozwiązania ostatecznego” wyprowadzona z ducha nauki*, [w:] *Nazizm, Trzecia Rzesza a procesy modernizacji*, wybór i opracowanie H. Orłowski, tłumaczyła M. Tomczak, Poznań 2000, s. 205–233; A. Milchman, A. Rosenberg, *Ekspertyzy w myśleniu o Holocauście. Auschwitz, nowoczesność i filozofia*, tłumaczenie L. Krowicki, J. Szacki, Warszawa 2003.

¹⁶ Jeśli idzie o nauki historyczne vide W. Schulz, *Die Bundesrepublik, die deutsche Nation und Europa*, [w:] *Nationale Geschichtskulturen — Bilanz, Ausstrahlung, Europabezogenheit*, red. H. Duchhardt, Stuttgart 2006, s. 285–288.

takie jak odkrycie przez gorliwych biologów „zasady wodzostwa w budowie komórki”¹⁷. Naukowo–ideologicznych koneksji epoki nazizmu nie da się jednak w żadnym razie sprowadzić do dziwacznych osobliwości. Prawdziwą wagę miały zjawiska od dawna mieszczące się w głównym nurcie rozwoju nauki.

Przed blisko dwudziestu laty historyk Detlev P e u k e r t wskazywał w związku z tym na znaczenie „fatalnej rasistowskiej dynamiki rozwojowej w samych naukach humanistycznych”¹⁸. Peukert miał na myśli przede wszystkim sprzężone z rasizmem koncepcje eugeniczne: dążenie do usunięcia ze społeczeństwa jednostek i grup uznanych za „bezwartościowe”¹⁹. Projekty takie znajdowały silne oparcie w tym, co od lat głosiło wielu niemieckich antropologów. To, że niemieckojęzyczną antropologię od samego początku charakteryzowała skłonność do przyjmowania narodowego punktu widzenia, nie było jeszcze niczym szczególnym w dziewiętnastowiecznej Europie. Jednakże pod koniec XIX stulecia niemiecka refleksja antropologiczna, zdominowana przez nacjonalizm i rasizm, wyraźnie odłączyła się od badań prowadzonych w innych krajach²⁰. Antropologia mieściła się w szerszym kontekście: niemiecki dyskurs publiczny obfitował w nacjonalistyczne i rasistowskie stereotypy²¹.

*

Wtedy właśnie, jak sądzę, zaczęto naruszać granicę, o której wcześniej wspominałem. Nauka traciła stopniowo swój samoistny status, swą poznawczo–moralną niezależność, stając się w coraz większej mierze wiedzą w służbie ideologii. Gdy powstała Trzecia Rzesza, ludzie związani z tak ewoluującą nauką gotowi byli uznać, że naziści podjęli się wypełnienia ważnej misji narodowej.

Co może wynikać z tych doświadczeń? Nasuwa się odpowiedź, że błędem byłoby skwitowanie ich stwierdzeniem: miały wymiar niemiecki i tylko Niemcy powinni się nimi martwić. Popularna przez długi czas, rozmaicie zresztą interpretowana teza o wyjątkowości dziejów Niemiec niejednokrotnie już stawała się w ostatnich latach przedmiotem przekonującej krytyki²². W doświadczeniach niemieckich należałoby zatem zobaczyć również problem ogólnoeuropejski. Ten zaś, kto twierdziłby, że kwestia politycznego panowania nad nauką dziś nas już nie dotyczy, dawałby świadectwo nierozumnej pewności siebie. Doświadczenie powinno być zatem przestrożą.

Ktoś słuchający takiej argumentacji może jednak zapytać: po co zajmować się odstręczającymi skrajnościami? Czy w dziedzinie związków między uczonymi a polityką obok tragicznych w skutkach wypaczeń nie znamy licznych przykładów silnego, lecz pozytywnego zaangażowania? Czy aktywni przeciwnicy dyktatur zasługują na słowa nagany? Czy polityczna aktywność nie bywa obywatelskim albo po prostu ludzkim obowiązkiem?

¹⁷ R. D a h r e n d o r f, *Niemieccy intelektualiści, ich status a polityka*, [w:] *Sonderweg*, s. 279.

¹⁸ D. J. K. P e u k e r t, op. cit., s. 208.

¹⁹ Vide M. G a w i n, *Rasa i nowoczesność. Historia polskiego ruchu eugenicznego (1880–1952)*, Warszawa 2003.

²⁰ A. G i n g r i c h, *Kraje niemieckojęzyczne*, [w:] F. B a r t h, A. G i n g r i c h, R. P a r k i n, S. S i l v e r m a n, *Antropologia. Jedna dyscyplina, cztery tradycje: brytyjska, niemiecka, francuska i amerykańska*, przedmowa Ch. H a n n, przekład J. T e g n e r o w i c z, Kraków 2007, s. 109.

²¹ W kwestii stosunku do Polaków i Słowian vide. W. W i p p e r m a n, *Jak dalece nowoczesny był „Generalplan Ost”? Tezy i antytezy*, [w:] *Nazizm*, s. 643–644.

²² Vide *Sonderweg*, passim.

A pomijając już sytuacje dramatyczne, ileż można by znaleźć przykładów politycznego działania w dobrej sprawie, w imię celów zasługujących ze wszelkich miar na aprobatę? Jeśli zaś sprawa słuszna, to dlaczego właściwie nie wspierać jej w swych badaniach, publikacjach, w końcu i na sali wykładowej? Czy samograniczenie się, wytyczanie sobie granicy, nie byłoby rzeczą szkodliwą? Czy wreszcie nauka niezaangażowana w sprawy publiczne miałaby w ogóle rację bytu?

Trudno zbagatelizować te argumenty. Niejednemu mogą z pewnością przemówić do przekonania. Ja sam sądzę, że w tego rodzaju sprawach zbyt wiele zależy od konkretnej sytuacji, aby sens miało dążenie do konsekwentnego przestrzegania rygorystycznych zasad — moim zdaniem takie próby byłyby zresztą zupełnie nierealne. Mimo to potrzebny jest namysł nad zasadą, która mogłaby ułatwić regulowanie relacji między nauką i polityką.

Myślę, że w dobrym kierunku prowadzi pytanie o rację bytu nauki niezaangażowanej. „Nauka niezaangażowana” — brzmi to niezbyt pochlebnie. Od nauki wiele się oczekuje i w spełnianiu tych oczekiwań widzi sens jej uprawiania. Praca naukowa ma, jak to się pięknie mawia, służyć człowiekowi. Końcowym produktem badań przyrodniczych mają być nowe lekarstwa, nowe technologie dla mass mediów i nowe rodzaje broni. Historia powinna dostarczać ludziom rozrywki, wychowywać ich, a władzę legitymizować. Krótko mówiąc, pragnie się bardzo praktycznych korzyści. Związki nauki i polityki warto rozpatrywać na tej płaszczyźnie. Polityczne funkcje badań naukowych i polityczne zaangażowanie naukowców to zjawiska wpisujące się w szerszą tendencję do patrzenia na naukę z punktu widzenia jej bezpośredniej użyteczności.

Można chyba przyjąć, że jest to skłonność nieunikniona i uzasadniona. Wielokrotnie podkreślano, jak potężnym motorem rozwoju nauki były najróżniejsze praktyczne potrzeby. Niewykluczone, że stanowią one fundament tego rozwoju. A jednak pracy naukowej od dawien dawna towarzyszy przekonanie o jej samoistnej wartości.

Ta dwoistość wyobrażeń na temat nauki znajduje swe odzwierciedlenie w dziejach szkół wyższych. Przy rozbudowie szkolnictwa wyższego szczebla dochodziło i dochodzi do konfrontacji dwóch wzorców. Z jednej strony, mamy do czynienia z kształceniem wysokiej klasy fachowców, specjalistów mogących sprostać najtrudniejszym zadaniom: inżynierów i lekarzy, prawników i managerów, dziennikarzy i ekspertów od *public relations*. Z drugiej — mówi się o rozwijaniu umysłów poprzez bezinteresowne dociekanie prawdy. Oczywiście, takie wyodrębnianie wzorców to w dużej mierze sztuczny zabieg. W praktyce łączą się one ze sobą i przenikają: w kształceniu fachowców bywa miejsce na bezinteresowną refleksję, a „czysta” nauka zachowuje przecież kontakt z problemami praktycznymi. Kiedy charakteryzuje się wszakże instytucję uniwersytetu, wtedy odzywają się głosy, że niezbywalnym składnikiem jej tożsamości jest zasada niezależności nauki.

Niedobrze byłoby, gdyby zasadę tę zaczęto zupełnie lekceważyć; gdyby uznano ją za zbędny luksus, a jej rzeczników za ludzi oderwanych od rzeczywistości, staroświeckich i patetycznych nudziarzy. Nauka musi zachowywać związki z życiową praktyką — trudno sobie wyobrazić, aby mogło być inaczej. Dzieje politycznego zaangażowania nauki pokazują jednak, że istnieją w tej dziedzinie granice, których nie należy przekraczać.

*

„Polityka nie powinna być uprawiana w salach wykładowych”. Rozpocząłem dzisiaj wykład tym cytatem, ponieważ wydaje mi się pouczający. Klimat ideowy, w którym żył

Max Weber, sprzyjał nasycaeniu nauki treściami politycznymi. Sam Weber nie zajmował w tych sprawach jednoznacznego i konsekwentnego stanowiska. Ale kwestia związków nauki z polityką była dla niego czymś istotnym. Swym monachijskim słuchaczom przedstawił propozycję reguły, której mieliby przestrzegać wykładowcy. Nie wnikajmy już, w jakiej mierze może ona łagodzić wielkie problemy i w jakiej mierze daje się wprowadzić w życie. Mnie się podoba, chociaż nie jestem wcale pewien, czy nie uprawiam tu dziś jakiejś polityki. O Weberze trudno byłoby powiedzieć, że rygorystycznie stosował się do własnych zaleceń. Z tego, że drogowskazy nie idą w kierunku, który wskazują, nie trzeba jednak wyciągać wniosku, iż są zbędne.

Should Researchers Engage in Politics?

This article was delivered as the inaugural lecture for the academic year 2009/2008 at the Faculty of History, University of Warsaw. The author discusses the extent to which connections between academic research and the political activity of the research staff are permissible. Kizwalter points out that there is no valid reason to deprive university professors of the right to have political ideas and voice them. Mutual relations between politics and academe are unavoidable, because on the one hand politicians and political ideologists exploit arguments provided by learning (both social and natural sciences), while on the other academic milieus function in social and intellectual climates seasoned by politicians and political events. Problems however do arise when science and the authority of university professors are used by political options and ideologies destined at criminal ends. The author illustrates this point with the instances of the German academe of the Wilhelmine and Nazi eras, and of the Soviet learned circles. The example of Germany during the years 1933–1945, when the academic world in general supported the politics and ideology of the Nazis, is judged by Kizwalter as a typical case, whereas the interpreting of the Soviet instance is less clear; one must not omit the fact that the appearance and reinforcement of the communist regime was closely related with the physical annihilation of former social elites, academic milieus included. The author concludes that university professors who engage in political activities should be wary and careful, although the diversity of situations that one is confronted with makes simple rules an unreliable instrument in this case.